

Oślepiający blask wolności

Wolność osiągnięta własnymi siłami – to właśnie było owo COŚ, to była „zbrodnia”, za którą z równą bezwzględnością skazali Warszawę na unicestwienie Hitler i Stalin



Wolność osiągnięta własnymi siłami – to właśnie było owo COŚ, to była „zbrodnia”, za którą z równą bezwzględnością skazali Warszawę na unicestwienie Hitler i Stalin

Powstanie Warszawskie to centralne wydarzenie polskiej historii XX wieku. W tej wielkiej bitwie streszcza się sens polskiego losu ostatniego stulecia, losu rozumianego nie tyle jako przeznaczenie, fatum, ile raczej jako udział, czyli to, co przypadło Polakom z całych tych stu lat. Należy bowiem unikać takiego myślenia o Powstaniu, które rzecz całą zamyka w majestatycznych stereotypach wielkiej tragedii.

Patos pozornie tylko dorasta do sensu wydarzenia, daje zwodnicze poczucie okiełznania tego wielkiego i tajemniczego problemu, jakim jest Powstanie. Kiedy zatem twierdzę, że Powstanie streszcza w sobie sens polskiego losu w XX wieku, nie chodzi mi o to, że owym sensem jest tragedia, czyli korowód krwawych perypetii prowadzących do ostatecznej katastrofy bohaterów. Żadne bowiem katharsis nie płynie z zakończenia powstańczego dramatu.

Zatem nie fatum, ale też nie przypadek. Nieszczęście, klęska, ale nie tragedia w belferskim rozumieniu tego słowa. Ci, którzy mówią o tragedii, sądzą, że to słowo rozstrzyga już całą sprawę, że ujmuje i wyczerpuje sens tego wszystkiego, co stało się w Warszawie w sierpniu i wrześniu 1944 roku, bo stoi za nim autorytet Eurypidesa, Corneille'a, Szekspira. Nic bardziej fałszywego. Nazwanie Powstania losem, udziałem, jaki przypadł Polakom z całej historii dwudziestego wieku – to dopiero początek, to ledwo pierwszy krok na drodze, która może przybliżyć nas do przeniknięcia tajemnicy Powstania. Czasem, gdy pozornie wiemy o jakimś wydarzeniu już wszystko, gdy wmówiono nam, że wszystko już zostało powiedziane i dawno już ustaliły się retoryczne tropy – warto spojrzeć na rzecz całą z zewnątrz. W wypadku Powstania ćwiczeniem z patrzenia z dystansu mogą być Szkice piórkiem Andrzeja Bobkowskiego.

Z drugiego końca kontynentu, z najważniejszej stolicy zachodniej Europy przyglądał się uważnie temu, co działo się w Warszawie. Przenieśmy się więc na dłuższą chwilę nad Sekwanę w sierpniu 1944 roku, zanim znów powrócimy nad Wisłę 1. W sierpniu 1944 roku Bobkowski zanotował w swoim dzienniku: „Polska Armia Podziemna rozpoczęła wczoraj otwartą walkę o uwolnienie Warszawy. Po co?

Myśli, myśli, pełno myśli i obawa słów, z których każde mogłoby być niewłaściwe”. Amerykanie odcinają Bretanię, zdobywają Rennes, przełamują niemiecki front.

W tym samym czasie w Warszawie „straszliwe walki”, miasto „zamienia się w piekło” – walczy „właściwie cała ludność. A Rosjanie przyglądają się. Jak Niemcy wyrzną Polaków, to Rosjanie zajmą Warszawę. Będzie to zawsze o kilkadziesiąt tysięcy najlepszych obywateli mniej, czyli o kilkadziesiąt tysięcy przeciwników komunizmu i sowieckiej Polski mniej. To już jest całkiem jasne”. Rodzą się sprzeczne myśli, także naturalna pokusa, aby w wydarzeniach dostrzec kolejny przejaw przeznaczenia ciężącego nad Polską: „Bądźmy szczerzy (...) emigracja to nie ucieczka DLA Polski, to ucieczka OD Polski, od grobów, od nieszczęść, od ciągłych próżnych wysiłków. Ucieczka od ciągłego kłopotu, od ciągłej pracy bez wynagrodzenia, od entuzjastycznej Śmierci”. 13 sierpnia – po wysłuchaniu fragmentów przemówienia Tomasza Arciszewskiego, następcy Prezydenta RP, do walczącej Warszawy – Bobkowski notuje:

„Dlaczego skazuje się tych młodych na tyle bohaterstwa, o którym nikt nie będzie chciał wiedzieć? Rosja, jak zawsze, nie chce tej Polski i takiej Polski, jaką ona sama chciałaby być. Niemcy i Rosjanie unicestwiają TO SAMO, są zgodni w unicestwieniu TEGO SAMEGO. Niemcy na pożegnanie, Rosjanie na powitanie.”.

Paryż, przygnieciony upałem, coraz niecierpliwiej czeka na Amerykanów – „po ulicach jeżdżą rozebrani Niemcy i rozebrane Paryżanki”. Bobkowski: „Myślę o tych chłopcach i dziewczętach w Warszawie, o tych wspaniałych chłopcach, którzy chcą albo po prostu

muszą umierać w słońcu. Dlaczego los skazuje nas zawsze na tyle bohaterstwa? We wszystkich komunikatach radiowych o Warszawie wyczuwa się skrępowanie. Za wiele bohaterstwa. Jesteśmy znowu sami razem z tym czymś, co tylko my potrafimy pojąć i zrozumieć.

Byle kto lub byle co żąda od nas ofiary życia i – otrzymuje ją (...).
Kolejne dni. Znow upalna pogoda, odwrót Niemców. W mieście panuje przedziwna atmosfera, mieszanina sielanki i narastającej grozy. Wreszcie wybucha paryskie powstanie: „Po południu odgłosy strzelaniny ulicznej. Samochody niemieckie jadące ulicami strzelają od czasu do czasu na wszelki wypadek. Już nikt nie wychodzi na ulicę. Podobno gmach Prefektury Policji się pali i na Bd. Saint-Michel są ‘walki’. Paryż stara się naśladować Warszawę. Na naszym merostwie ‘Resistance’ destytuowała już mera i odbyły się tymczasowe wybory. Nasz młodzieniec z hotelu został wybrany conseiller municipal (radny miejski) i wobec tego pijemy na dole za jego zdrowie. Wszystko to jest podniosłe jak co najmniej jakiś wodewil Labiche’a. Mam ochotę ciągle się śmiać. Przychodzą inni młodzi – jeden na czterech ma jakiś damski pistolecik nie większy od puderniczki. Ale to nie szkodzi – robimy Rrrrewolucję, obalamy mera, aresztujemy kolaborantów.”. Następnego dnia docierają informacje o zawartym przez Ruch Oporu porozumieniu z niemieckim garnizonem.

Niemcy obiecali nie atakować gmachów publicznych zajętych przez powstańców i zapowiedzieli wycofanie się z miasta. W zamian Francuzi obiecują rozejm. Bobkowski: „Wspaniałe. Postrzelali, nadmuchali Niemcom pająków do tyłka i po jednym dniu ugoda. I Niemcy, i oni przestają pukać, ludzie wychodzą sobie na spacer, i po herbacie. Spokojnie czeka się na łaskawe wkroczenie Amerykanów. A kiedyś, kiedyś wszystko razem będzie się nazywać ‘bohaterskim zrzczeniem

jarzma okupanta przez patriotów francuskich i lud Paryża' itd.". W tym samym czasie w Warszawie, w której się „nie pertraktuje i nie gada” – „piekło”.

W końcu przychodzi 25 sierpnia. Przy Pont d'Austerlitz narasta gwar. Bobkowski podjeżdża rowerem – wreszcie są! Pierwsze czołgi, ciężarówka. Amerykanie. „Stoję pod drzewem, patrzę i wydaje mi się, że Śnię. Ale nie. Jadą ciągle nowi. Zielone koszule, spodnie i getry. To już ci inni. Ci, na których czekało się tyle długich lat, już naprawdę ONI. W niecałe trzy miesiące po wylądowaniu są w Paryżu. Wyglądają wspaniale. To wjeżdża inny Świat, wjeżdża wolność. Może niedoskonała, może..., może..., ale czym jest ta garść zrzutów, która panowała dotąd i która nadchodzi na wschodnią połowę Europy teraz, w tej chwili (...). łapię się na tym, że sam do siebie krzyczę po polsku z dzikim entuzjazmem: 'Oni żują gumę'. I Śmieję się sam z siebie". Ale za chwilę nagła zmiana nastroju. Bobkowski bezwiednie zaczyna płakać.

Obok zatrzymuje się kolumna wojskowych amerykańskich ambulansów, kierowanych przez młode i ładne dziewczęta. Jedna z nich patrzy zdziwiona i znad kierownicy pyta go po angielsku, dlaczego płacze. „Jestem Polakiem i umyślę o Warszawie – pada odpowiedź. – Oni tu mogą być szczęśliwi, nam jeszcze nie wolno”. Dziewczyna rozładowuje chwilę kłopotliwego milczenia, częstując Bobkowskiego chesterfieldami: „paliłem go, myśląc, że jest w nim Świat, który pewnych rzeczy nie jest w stanie pojąć. Może dlatego, że on sam nigdy nie był zmuszony do palenia niczego gorszego od chesterfielda. Ulicami jechały czołgi i samochody, a nad tym szczęśliwym miastem płynął jeden wielki krzyk radości”. *W relacji Bobkowskiego najważniejsze jest jedno zdanie – zdanie, w którym Bobkowski pisze, że Niemcy i Rosjanie

„unicestwiają TO SAMO, są zgodni w unicestwieniu TEGO SAMEGO.”. Czym jednak jest owo „to samo”, o którym nic bliżej autor Szkitów piórkim nie pisze, a które prowokuje do działania radykalnie złą wolę dwóch totalitaryzmów?

Wskazówką może być tutaj głos samej walczącej Warszawy. 1 września w przemówieniu radiowym, nadanym ze stolicy, Delegat Rządu RP na Kraj Jan Stanisław Jankowski zawarł myśl, w której odnajdujemy przyczynę klęski politycznej Powstania i źródło jego wspaniałej legendy: „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać”. Tego samego dnia generał Tadeusz Bór-Komorowski, również w powstańczej audycji, powiedział: „Walcząc wszędzie, nie mogliśmy być bierni na własnej ziemi. Rozstrzygający bój o Warszawę nie mógł być stoczony tylko obcymi siłami. Naród, który chce żyć w wolności, nie może być bierny w momentach, w których decydują się jego losy”.

Wolność osiągnięta własnymi siłami – to właśnie było owo COŚ, to była „zbrodnia”, za którą z równą bezwzględnością skazali Warszawę na unicestwienie Hitler i Stalin. W tym słowie streszczał się sens walki stolicy. Kiedy ogląda się zdjęcia z pierwszych dni Powstania, uderza niezwykle blask bijący z twarzy. Ludzie fotografowani wtedy w Warszawie są piękni, jakby rozświetleni od wewnątrz. Nie ma w nich niczego ciemnego, niczego brudnego, nie ma Śladu szarości czy banalności. W tych oczach, w spojrzeniach, w gestach jest Ślad owego CZEGOŚ, o czym pisał Bobkowski – jest rzeczywiście wolność. Tu właśnie – w oślepiającym blasku wolności, bijącym z tych pierwszych dni, leży źródło całego piękna legendy Powstania, która zrodziła

się z tych dni, pomimo całej potworności, grozy i cierpienia następnych dwóch miesięcy. To absolutnie pierwotne i podstawowe doświadczenie wolności odnajdujemy w wielu relacjach powstańczych. Może najbardziej dobitnie rzecz całą wyraził Jerzy Braun w swoim tekście „Czasy ekstazy”, opublikowanym w 1948 roku w Tygodniku Warszawskim (ostatni moment, gdy w Polsce Ludowej można było tak otwarcie pisać o tamtych dniach). Braun tak wspominał początek Powstania: „Ekstaza wolności napełnia serca, przyspiesza oddech w płucach, wzbiera w ulicach. To nic, że domy płoną, że szeregi ludzi z tobołami na plecach i w łachmanach uciekają z Woli, Czerniakowa, Górnego Mokotowa, Powiśla. Wielkie, zapamiętałe odprężenie prostuje grzbiety. Można znieść wszystko, byle strącić z karków nieznośny ciężar, byle nareszcie być sobą. Tego szczęścia nie pojmie nikt, kto go nie dozna- wał. Na skrawku ziemi długości i szerokości paru kilometrów, natłoczonym ludźmi, podminowanym nastrojami piwnicznymi, rozkrojonym na kilka osobnych, odciętych od siebie obozów warownych, otoczonych zewsząd, burzonych nieuchronnie bombami, znajdującym się już od pierwszych dni w sytuacji strategicznie beznadziejnej – ta wciąż płonąca Świadomość: jesteśmy wolni!”³.

Inny autor Tygodnika Warszawskiego, Władysław Siła-Nowicki, tak wspominał te chwile: „Warszawa była pijana wolnością. Ludzie, którzy nie przeżyli Powstania, ludzie, którzy będąc w samym mieście, znajdowali się od początku w blokach i dzielnicach opanowanych przez Niemców – nie zrozumieją nigdy tego oddechu wolnością, którym zachłysnęła się Warszawa 1 sierpnia 1944 roku i który wystarczył jej na dwa straszliwe miesiące walki coraz bardziej beznadziejnej”⁴. Trzeba wreszcie przypomnieć także i to, że w nocy z 1 na 2 sierpnia hasło dla posterunków Armii Krajowej brzmiało: „Warszawa”, a odzew:

„Wolność”⁵. Rozrzucone po całym milionowym mieście, zamienionym w pole bitwy, powstańcze stanowiska wyznaczały granice kręgu wolności Polaków, z którego bił blask dumy i nadziei. Dalej była ciemność, czyli Niemcy.

To prawda – wystarczy choć raz w życiu przeczytać Monię Clavier Mroźka, aby na zawsze zapamiętać scenę przyjęcia w weneckim hotelu Excelsior, gdy bohater, chcąc pokryć własne zmieszanie, pokazuje na braki w uzębieniu, wołając: „O, tu, wybili, panie, za wolność wybili!”. Właśnie dlatego, że należymy do pokolenia wyuczonego podejrzliwości wobec patetycznej, złej literatury bogoojczyźnianej, powinniśmy bez uprzedzeń próbować zrozumieć sens tego, co o własnej walce mówiła powstańcza Warszawa. Bo też wolność, o której mówił Jankowski, nie jest groteskowo napuszoną wolnością rodem ze złej, pseudoromantycznej literatury. Zła literatura rodzi irytację krytyków, ale nie przyciąga uwagi radykalnego zła. Nie trzeba jej unicestwiać, wystarczy ją wyśmiać. Najlepszym dowodem, że o inną wolność wtedy chodziło w Warszawie, była reakcja Hitlera i Stalina – reakcja przerażająco poważna.

Czytaj dalej

Dariusz Gawin